№ 26. Piątek, dnia 26 Marca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia 14 (26) Marca
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —
kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Bielańskiej
Nr 8 nowy.

NA CMENTARZU.

WSPOMNIENIU ZMARŁEJ CÓRECZKI SWOJEJ
POŚWIĘCA
Bogumił Aspis.

(Ciąg dalszy).

V.

Gdy mi ją po raz pierwszy oddano na ręce,
Podniosłem ją ku słońcu, i rzekłem: Dzie-
[cino!
Dopieroż to mi teraz słodko dnie popłyną
Przy tobie!... przy tak ślicznej, jako ty,
[dzieweńce!
Ty mi będziesz gwiazdeczką, z której każ-
[dym błyskiem
Ja będę coraz bliżej rozpoznawał Boga,
I świat ten mi się stanie, jak świątynia bło-
[ga,
Rajskich duchów i samych aniołów sie-
[dliskiem — —
Kolebkę twoję w kwiaty wiosenne przy-
[stroję—
Z róż polnych ci uścielę miękką poduszecz-
[kę,
I na nią ułożywszy potem mą dzieweczkę,
Będę myślał, że śpi tak—własne serce mo-
[je...
Gdy urośniesz,—gdy ciałko już twoje doj-
[rzeje,—
Kiedy dużą już będziesz,—to z tobą ucie-
[knę
W las gdzie gęsty... gdzie będą same krze-
[wy piękne
I dęby takie bujne, jak—moje nadzieje!
W tym lesie,—by mi kto cię niewykradł
[przypadkiem, —
W największej gąszczy chatkę wzniosę
[z białej kory —
Ściany chatki przystroję w najpiękniejsze
[wzory
Z traw i liści — i powiem, byś tam weszła
[z tatkiem.
I gdy wejdziesz — to klęknę z tobą, drogie
[dziecię,
Przed obrazem najsamprzód cnej Bogarodzi-
[cy,
I powiem ci,—natchnienie czerpiąc w Jej
[źrenicy,—
Czem być winna kobieta na naszym tu świe-
[cie.
Więc powiem ,—że być winna owem świa-
[tłem nieba,
Które ziemię co rano rozwidnia po nocy,—
Że szczęście całej ziemi w jej tylko jest
[mocy,—
Że tylko, by świat zbawić — kobiety po-
trzeba!
I powiem ci, — czem biedne są twe siostry
[inne,
Co mądrości nie mając, chcą o samej woli
Serca tylko żyć tutaj, — błędnej wierze
[gwoli,
Że niebędą znać cierpień gdy będą niewinne..
O! ja powiem ci: „Mądrą bądź moja dzie-
[weczko
Mądrą bardzo... nie przeto będąc gorszą
[sercem...
Ach! bo świat ten — pod jasnym swoich
[róż kobiercem,
Kryje noc, z której tylko sam rozum
[ucieczką...
Bądź mądrą — bądź ostrożną — bądź jak
[wąż rozumem —
Choć czystą razem, czystą, jak biały dzień
[w lecie..
Szukaj światła... ach! światła potrzeba ko-
[biecie,
By weszła nowym zbawcą nad ludzkości
[tłumem! — —
Kiedy taką już będziesz — to choćby te usta
Co rady dziś ci dają, zamilkły na wieki,—
Nie lękaj się! idź śmiało sama w świat da-
[leki,
I żyj!... Ziemia, zobaczysz — choć wielka —
[nie pusta!
Wszystko tam na niej czeka na przyj-
[ście niewiasty,
Coby obok mężczyzny stanąwszy po stro-
[nie,
Myślą, wspólnie z nim, *mroku* rozwidniła
[tonie,—
Sercem—stare *zawiści* wyplenila chwasty —
Wszystko czeka kobiety, coby prócz mi-
[łości
W sercu swojem, tej ziemi niosąc *rozum*
[nowy,—
I berło swe z mężczyzną dzieląc do połowy,
Iść mu zawsze kazała tam gdzie *cnota* go-
[ści!...

Tak myślałem, w twarzyczkę patrząc mej
[dzieciny—
Czemże była mi ona, jeśli nie *nadzieją?*—
Toż wszystko przemarzyłem, co mogłem
[koleją
Przemarzyć, w ciągu pierwszej jej życia
[godziny...
W tem słyszę—zakwiliła... O, ptaszko ma
droga!
Czy pamiętasz? — przeczułaś serduszkiem
[niestety,
Że niewiastą, o której marzę, będziesz nie
[ty,
A inna jeszcze, jakaś, co przyjdzie od Boga

* * *

Gdzież jesteś teraz?.. Patrzę-ż w ten mrok
[nadaremno?...
Ten grobek — to twój grobek, dziecię?...
[A kołyska
Stoi pusta tam w domu?... a głaz ten uci-
[ska
Twe ciałko?...
Wkoło krzyże... krzyże..
[a nademną
Chmury tam? — — Cisza... cmentarz... pust-
[kowie precz...ciemno!?...

(*D. c. n.*)

Słówko w sprawie kobiecej,

á propos Spółki połączonej pracy kobiet.

Dziwnym narodem my jesteśmy... *nous autres polonais*... jakby się wyraził uczony autor jaki, umiejący trochę po francusku. Dziwnym—*przedziwnym!* Przymiotnik ten zresztą nie zawiera w sobie komplementu.

Publiczność bo najmniej chyba powinna szukać duserów dla siebie, w szpaltach pism peryodycznych poświęconych rzeczywistemu jej dobru. Ostra każda prawda, wypowiedziana tam otwarcie, wprost w oczy i bez ogródek, wartą jest stokroć więcej, od najsłodszych słówek i obsmarowanych miodem krasomóstwa grzecznostek, któremi nieraz częstuje się ją dlatego, że nic lepszego nie ma się do powiedzenia.

Jednę z prawd właśnie takich, mamy zamiar wypowiedzieć w dzisiejszej pogadance całemu zbiorowi publiczności naszej, i pod wpływem tego to zamiaru, powtórzylibyśmy raz jeszcze chyba frazes, który nam się wyrwał na początku zaraz z pod pióra.

Więc tak jest—dziwnym, przedziwnym narodem, jesteśmy sobie, jeśli nie zawsze, to przynajmniej najczęściej, my—Polacy!

Oto, szukając niedaleko, jakże dziwnie np. obchodzimy się z własnemi swojemi cnotami: z zamiłowaniem niekłamanem do wiedzy, z zapałem do wszystkiego co sprawiedliwe i piękne, z litością jaką żywimy dla nędzy, z ambicyą, która nas ciągle pobudza do tego, że nie chcemy się dawać wyprzedzać innym narodom w postępie! Bo wszakże wszystkie te cnoty mamy—nieprzyjaciel sam chyba w nas ich nie dopatrzy—mamy je... lecz jakże powtarzam, obchodzimy się z niemi? Zamiast je na polu społecznego swojego życia, zużytkować jako należy—tu siłą ich popchnąć na nowe tory naukę, tam sztuce dodać nowego wiwiołu, ówdzie podnieść handel, przemysł i kunszta, ówdzie jeszcze z miast swoich wyrugować uliczne żebractwo.... my, jak dzieci, co się bawią jednem cackiem dopóty, dopóki im nowe jakie nie błyśnie przed wzrokiem, zajmujemy się także ideałami swojemi tak długo, dopóki te nam służą dla samej tylko rozrywki, zapały dawniejsze odkładając ciągle *ad acta* i z miłości wczorajszych śmiejąc się zawsze nazajutrz.

Weźmy pod rozbiór np. jeden z najświeższych ideałów naszych: ideę *wyzwolenia niewiasty—porównania jej w prawie do pracy i do zasługi* z sobą —wydobycia jej ze sfery, w której była tylko branką nie kobietą, na szersze pole społecznych czynów, zatem podnioślejszych celów i więcej ogólnych dążeń. Cośmy też z tym ideałem nie nawyrabiali się już dotąd, od czasu, gdy po raz pierwszy zabłysnął nam na horyzoncie, aż do chwili obecnej, gdzie już, jak się zdaje, dochodzi swego południa! Ileż to rozpraw — certamentów — sprzeczek... jak to tę kobietę wydźwignąć z owej właśnie moralnej niewoli, w której niby przez tyle pozostawała wieków? jak jej przypiąć te skrzydła, o których ma się wzbić w górę.... przypiąć tak, aby z jednej strony nie tracąc nic z pozoru anioła, stała się jednakże z drugiej pełnym i dojrzałym człowiekiem? Ile to projektów—zamiarów—mrzonek—poetycznych elukubracyi i majaczeń, wydała z siebie sama prasa peryodyczna nasza, pod wpływem bijącego w oczy, jaskrawego światła tego ideału, gdyśmy w piękny poranek oczy w górę podnieśli i dopatrzyli go tam, gdzieś na skraju nieba, w pozłocie z zorzy, znamionującej *dzień nowy!*

Zdawałoby się, że o tylu gorących z naszej stony zapałach,—o sile tylu męskich pragnień, z których każde chciało nowem dobrem jakiem przysłużyć się owej właśnie sprawie kobiecej,—kobieta nasza wypłynie odrazu, jak feniks jaki z popiołów na widownię życia, i że jej już potem pomiędzy nami nic chyba zabraknąć nie będzie mogło.

Tak by się zdawało...

W złotej to tej epoce błyszczczących podobnie nadziei, w epoce podobnie różowych marzeń o przyszłej wielkości kobiety,—niektóre z pracowniczek niewieściego rodu, pochopniejsze widać od innych do czynu, nie chcąc zasypiać gruszek w popiele i zresztą korzystając z powszechnego zapału,—postanowiły założyć w Warszawie, na podobieństwo różnych spółek męskich, jakie już były dotąd po świecie—*Spółkę połączonej pracy kobiet.*

Od tego czasu mamy już do czynienia z życiem.

Ideał spadł na ziemię, aby ją zapłodnić.

Zobaczmy, co się z nim stało.

Ustawa *Spółki połączonej pracy kobiet*, orzeka co następuje:

Art. I. Celem Spółki jest, za pomocą przemysłu i handlu, rozszerzać zakres kobiecej działalności,—dostarczać i wynajdywać kobietom pracę,—uczyć kobiety tak rzemiosł, jako i nauk,—zjednoczyć rozproszone pomiędzy sobą pracownice przez stopniowe dopuszczanie ich do udziału w spółce, a tem samem, zapewniając im przyszłość, podnosić zarazem i ich moralność.

Tenże artykuł mówi, iż za środki dla dopięcia tego celu, służyć będą Spółce: *Bazary*, czyli wystawy i sprzedaże wyrobów kobiecych, na które spółka udziela nawet biednym zaliczenia, odpowiadające wartości składanego w pracy materyału—*Pracownie* rozmaitego rodzaju — *Kantory stręczeń pracy kobiecej*— oraz *Wykład różnorodnych nauk i rzemiosł dla kobiet*, jako to szycia, kroju, zegarmistrzowstwa, drukarstwa, fotografii, rękawicznictwa i t. p. (O ile wiemy, do tych nauk należy i buchalterya).

Artykuł 3-ci mówi znowu, iż spółka składa się: z *Protektorek* to jest dam zaproszonych przez pierwotne założycielki do czuwania i opieki głównie nad kapitałem oszczędności w spółce—Ze *Spólniczek opiekunek* t. j. osób, które przystąpiły do spółki z kapitałem nie mniejszym od rs. 500, ofiarowując zyski jednakże z niego na wymieniony powyżej kapitał oszczędności—ze *Spólniczek honorowych* t. j. osób, które i mniejszą kwotę jaką, na ten sam jednakże użytek, złożą—ze *Spólniczek udziałowych* czyli dam, które składając nie mniej jak rubli sto, zastrzegają sobie na rzecz własną zyski od swojego kapitału—z *Pracownic stałych*, które tak się nazywają dopiero od chwili złożenia przez siebie do Spółki kwoty rs. 15, i mają wyłączne tylko prawo do kapitału oszczędności, formującego się z tychże ich składek właśnie, oraz z wszelkich wpływów mogących przypaść tak od kapitału *Opiekunek* jako też i od całego handlowego obrotu Spółki—z *Kandydatek na pracownice stałe*, czyli z tych pracownic, które zobowiązały się do składania 10%od zarobku swego, aby się tym sposobem mógł wytworzyć udział, potrzebny do nazwy *Uszestniczki*—wreszcie... co już *sine qua non*... ze *Spólniczek założycielek*, które zawiązując Spółkę, złożyły, celem procentowania swego kapitału przez wszelkie obroty leżące w atrybucyach Spółki, nie mniej jak po rs. 500, a do których to grona mogą być przypuszczane i coraz nowe jeszcze damy, gdy na to otrzymają zgodę pierwotnych *założycielek.*

Pomijając inne artykuły Ustawy, mniejszy mające dla nas interes,—wymienimy jeszcze, w podobnem jak i dwa powyższe streszczeniu, artykuł 7-my traktujący o *zyskach*, jakie różnym osobom należącym do *Spółki połączonej pracy kobiet*, przyrzeka taż Ustawa.

Otóż, według tego 7-go artykułu, materyalne zyski osób z należenia ich do Spółki, mają być następujące:

1-mo *Spólniczki założycielki*, w stosunku do

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Święta!

Święta.... jeden tylko wyraz, a ileż to on w sobie zawiera treści!

Święta—to dla wybrańców losu, którym wiatr przeciwności nigdy w oczy nie wiał—pora ochoczych zabaw i rozrywek.

Dla bogacza—to chwila nudów i większego niż zwykle przepychu.

Dla ludzi pracujących ciężko w czoła pocie, czy to w biurze nad aktami z piórem w ręku, czy też w warsztacie z młotem, dłutem lub igłą w dłoni—to czas wytchnienia i wypoczynku po znojach codziennego żywota.

Dla biednych—to dni, w których nędza ich podwójnie staje się dotkliwą; raz dlatego, że źródła wszelkiego zarobku nikną, a powtóre, dlatego, że niedostatek, głód i zimno stają się przykrzejszemi jeszcze do zniesienia wobec uśmiechu zadowolenia, jaki igra na ustach tych wszystkich, co nędzy nie zaznali

Dla sierot i tych biednych samotników, co w odosobnieniu od bliźnich swoich żyć muszą na ziemi—to najboleśniejsza chwila w roku całym, bo wtedy bardziej niż zwykle czują oni swoje sieroctwo i osamotnienie.

Dla dzieci—to upragniona pora zabaw i niczem nie krępowanej swobody.

Dla starców—to godziny smętnej zadumy, które im przywodzą na pamięć, że są znowu o jeden krok bliżej grobu i że może tychże samych świąt w roku przyszłym nie będą już spędzać pośród ukochanej przez siebie rodziny.

Wiele, wiele jeszcze moglibyśmy powiedzieć o świętach, a i tak nie wyczerpalibyśmy wszystkiego....

Dlatego, Szanowni Czytelnicy, wolimy starym obyczajem życzyć Wam *wesołego alleluja* i prosić Was, abyście sami podzieliwszy się święconem jajkiem gdy siedzieć będziecie przy suto zastawionych stołach—pamiętali także o biedniejszej braci i tych wszystkich co cierpią a nie mają czem otrzeć oczu swoich z łez bólu i zwątpienia...

Kurs dziejów literatury polskiej, podług notat A. Zdanowicza, opracowany przez L. S., jak się dowiadujemy z najwiarogodniejszego źródła ma wyjść w *trzech*, a nie w dwóch tomach jak pierwotnie zapowiedziano. Tom drugi obejmie literaturę stanisławowską i księstwa warszawskiego, oraz ogólną charakterystykę ostatniego (mickiewiczowskiego) okresu. Tom ten prawdopodobnie ukaże się w handlu księgarskim w ciągu bieżącego półrocza.

kapitału złożonego przez siebie, mają prawo otrzymywać corocznie (w 40 dni po Nowym Roku) zyski osiągnięte ze wszystkich obrotów przemysłowo-handlowych Spółki, oraz z kapitału rezerwowego, który się tworzy przez odjęcie 20% od ogólnej sumy czystego zbiorowego zysku.

2-do *Spólniczki udziałowe*, otrzymując według tejże normy, zyski odpowiednie swoim kapitałom, mają jeszcze prawo wyłączne zajmowania posad płatnych przy Spółce.

3-o Spólniczki *udziałowe*, *Założycielki* i *Opiekunki*, mają prawo bez opłaty składowego, oddawać swe wyroby do Bazaru w komis—przy kupnie towarów mają 5% sobie odstąpione od cen stałych—prócz tego mogą jeszcze pobierać naukę rzemiosł *bezpłatnie*.

4-m *Pracownice stałe*, oprócz tego że są wyłącznemi właścicielkami *kapitału oszczędności*, o którym wspomnieliśmy wyżej, mają prawo pierwszeństwa w otrzymywaniu roboty, tak od Spółki samej bezpośrednio, jako też i roboty takiej, której osoby obce zażądają, udając się tylko do Spółki o rekomendowanie sobie pracownic.

Stałe te *Uczestniczki*, zysk cały, jakikolwiek na nie przypadnie, otrzymują co lat pięć dopiero. Tymczasem, wspólnie z *niestałemi* nawet pracownicami, t. j. takiemi, które zbierają sobie dopiero *udział* w Spółce przez oddawanie do jej kasy pewnego umowionego procentu od zarobku,—*uczestniczki* takie mają prawo do opieki nad sobą Spółki, w razie każdego nieszczęścia lub choroby—otrzymywać mogą od niej zaliczenia — oddawać bezpłatnie w komis swoje prace—i z wykładu rzemiosł jako też nauk korzystać również bezpłatnie.

Trzy wymienione przez nas powyżej paragrafy Ustawy streszczają w sobie zdaje się dostatecznie cel i zakres Zakładu, który zamierzyły otworzyć dla dobra powszechnego kobiet naszych, te z ich grona, które kwestyą emancypacyi płci swojej, pojęły rzeczywiście jak trzeba i, że tak powiemy, *na serio*. Wszyscy zgadzają się już dziś na to, że najgłówniejszą z przyczyn, stawiających kobietę wobec mężczyzny, na tym niższym daleko stopniu, nietylko w społeczeństwie ale i w rodzinie nawet, na jakim pozostawała dotąd, jest zamknięcie przed nią drogi do swobodnej na każdem polu pracy... podczas gdy mężczyzna jednakże, z przywilejów takiej pracy korzysta.

Otóż—nie można zdaje się lepiej, uzdatnić kobiety do tego porównania się z mężczyzną, pod względem zasobu sił przedewszystkiem potrzebnych do wykonywania wspólnej z nim pracy, jak pozwolić jej popisać się niejako pierwej, ze wszystkiem, do czego czuje się uzdolnioną, w obrębie zakładu, o którym mowa. Taka *Spółka połączonej pracy kobiet* mogłaby być zdaniem naszem, odrzucając już na bok wszelkie jej inne znaczenie, rzeczywistą szkołą, gdzie kobiety, po raz pierwszy u nas, spróbowałyby naprawdę sił swoich i wykazały, o ile też mają prawa do tej równości z nami, do jakiej obiawjają tak głośne pretensye.

Mówimy—choćby zakład o jakim mowa, nie miał żadnego innego zadania, tylko takie,—to już jednakże zasługiwał na najszczersze poparcie ze strony społeczeństwa na bezwarunkową pomoc jego i zaufanie.

Tymczasem...jakże blado wygląda to współczucie, jakie nasz ogół w pierwszej chwili, dla sprawy kobiecego wyzwolenia okazał, w obec rezultatów swoich rzeczywistych i ucieleśnienia się w czynie. Jakże mizernym okazuje się skutek owych okropnych zapałów, ognistych pragnień ofiary, litowań się nad niedolą niewiasty i przyrzeczeń pomagania jej nadal... w obec tych wszystkich właśnie elukubracyi gorącej myśli i gorącego naszego serca. *Spółka połączonej pracy kobiet* nie małym tego posłużyć może dowodem.

Przypatrzmy się choć pobieżnie jej obecnemu położeniu.

Ze sprawozdania Spółki, które ta za rok 73 nam podaje, a które w tej chwili mamy również przed sobą, dowiadujemy się przedewszystkiem, iż Spółka w tym drugim roku swego istnienia posiadała członków rzeczywistych t. j. takich, którzy kapitały swoje w obroty jej włożyli, czterdziestu czterech—że przy współudziale tej szczupłej liczby osób, i obracając kapitałem mało przechodzącym kwotę 4,000 rs. Spółka nie otrzymując żadnych jeszcze materyalnych zysków, nie naraziła jednakże nikogo na najmniejsze straty—i że obrót handlowy stowarzyszenia wynosił 21,870 rs. Bezstronnemu czytelnikowi, jedna rzecz jednakże w tem sprawozdaniu rzuca się osobliwie w oczy—oto, że rezultat ten cały w r. 74, został osiągnięty pomimo okoliczności, iż zbiorowy kapitał Spółki w porównaniu z r. 73, przez ubytek trzech osób, które cofnęły swoje udziały, zmniejszył się o 2000 blisko rs. mianowicie z 6,000 rs. na 4,078. Obrót handlowy Spółki w r. 73, przy kapitale zakładowym 6,000 rs. wynosił 21,661 rs. Obrót z r. 74, przy kapitale 4,078 rs. zatem zmniejszonym o 2,000 rs. wyniósł 21,870 rs. więc o 209 rs. więcej! Cyfry tu mówią same za siebie. Porównywając i pod innemi względami rok 73 z 74, widzimy co następuje:

W roku 73 na rzecz Spółki pracowało kobiet 61—

w roku 74 pracowało na rzecz tejże Spółki kobiet 70.

Tam rzemiosł i umiejętności uczyło się osób 75—

tu uczyło się tychże rzemiosł i umiejętności osób 153.

W roku 73 straty wynosiły rs. 1648 kop. 20. — w roku 74 strat wcale nie było.

To zestawienie dwóch lat z sobą, poparte detalicznemi cyframi, narzuca się, powtarzamy, przedewszystkiem oczom czytelnika, i każe mu w razie, gdyby rezultaty osiągnięte dotąd przez Spółkę nie zadawalały go w zupełności, zapytać samego siebie: po czyjej istotnie stronie może stać wina tego faktu? Że rok pierwszy istnienia Spółki, nie przynosząc jej członkom żadnych korzyści, naraził ich jeszcze na pewne straty, — tego, zdaje się, bezstronny sędzia każdy, nie może zbyt ostro krytykować. Jakkolwiek bowiem lepiejby było, gdyby zarząd każdego poczynającego się zakładu, był odrazu praktycznym i mądrym na tyle, aby żadnych błędów po drodze nowej pracy swojej nie popełniał,—to jednakże, nie podobna znów z drugiej strony winić ludzi za to, że odrazu we wszystkiem tak mądrymi i praktycznymi nie są. Otóż gdy wspomnimy obok tego, że drugi rok istnienia Spółki, okazał już tak ważny postęp, pod względem tej właśnie zaradności jej zarządu, jaki z przytoczonych powyżej cyfr widzimy,—nasunie się nam koniecznie pytanie: czy nie tylko sama obojętność ogółu, nic więcej, winą jest tego, że Spółka, zamiast dać robotę kilku tysiącom osób, dała ją tylko 70 pracownicom? zamiast następnie udzielić od siebie nauki kilku setkom przynajmniej uczennic, kształciła ich liczbę bez porównania mniejszą?

Na czemże bowiem opierać się może głównie kwestya prosperacyi wszelkich stowarzyszeń przemysłowo-handlowych—pytamy—jeśli nie na kapitale? A kapitał ten, skądże się ma brać, w początkach zaraz istnienia podobnych Stowarzyszeń, jeśli nie z szerokiego udziału w nich większej jakiejś liczby osób, które, chcąc własny interes z dobrem ogólnem zespolić, nie wahają się częściowych kapitałów swoich umieszczać w kasie tychże stowarzyszeń?

Jest rzeczą jasną, że gdyby w miejsce 44-ch t. z. *rzeczywistych* członków Spółki, było ich w takowej 200 lub 100 przynajmniej, cała skala obrotów w Spółce powiększyłaby się o 60 lub 160 razy, i że zatem tak moralne jako i materyalne...

W ostatniej naszej kronice uczyniliśmy wzmiankę o świeżo odrodzonym do życia, a zbyt skąpego dotychczas doznającym poparcia *Tygodniu* piotrkowskim. Dziś, uzupełniając tę wzmiankę o prowincyonalnej naszej prasie, która znowu znalazła się w dawnym komplecie, musimy poświęcić kilka słów uznania *Kuryerowi Lubelskiemu*. Nowy jego redaktor i wydawca, pan Teofil Głębocki, dokłada widocznie wszelkich starań, aby to zaniedbane dawniej pismko uczynić zarazem pożytecznem i poczytnem. Dotychczas wprowadzono już wiele ulepszeń, które rokują nadal pomyślną dla lubelskiego organu przyszłość. Daj Boże, aby dobre chęci redakcyi nie rozbiły się znowu o obojętność miejscowej inteligencyi, jak się to u nas zdarza niekiedy najbardziej nawet godnym poparcia wydawnictwom.

W nocy z soboty na niedzielę na drodze żelaznej warszawsko-terespolskiej zdarzył się, pierwszy od czasu otwarcia tej linii, nieszczęśliwy wypadek. Pociąg kuryerski, wychodzący z Pragi o godzinie 10 minut 44 w nocy, wyskoczył z szyn na wiorście 24 pomiędzy stacyami Miłosną i Mińskiem. Z pasażerów nikt podobno nie poniósł szwanku, ale zato ze służby pociągowej maszynista i jeden ze smarowników silnie są potłuczeni, podmaszynista został ciężko rannym a palacz znalazł śmierć na miejscu. Przyczyna wypadku nie jest jeszcze wiadomą. Ruch pociągów na drodze terespolskiej nie został przerwany, a uszkodzenie linii na przestrzeni około 18 sążni, nie jest tak znacznem, iżby wymagało długiego czasu na naprawę. Mamy już w kraju naszym kilka linii dróg żelaznych, a wypadki na nich są rzeczą niesłychanie rzadką; należy się spodziewać, że nieszczęście jakie się trafiło na drodze terespolskiej wpłynie na służbę zarówno tej drogi jak i innych, i przyczyni się do powiększenia jeszcze środków ostrożności.

Biblioteka Umiejętności Prawnych wychodzą ca w Warszawie przeszło od lat dwóch, wzbogaciła już ubogą naszę literaturę prawniczą kilkoma dziełami wyższej i niezaprzeczonej wartości. Do takich należą mianowicie, oprócz *Zasad Kodeksu Napoleona* J. J. Delsol'a (tomów 3) oraz *Wykładu Postępowania Karnego niemieckiego* Zachariae'go (tom pierwszy—drugi w druku) trzy dzieła oryginalnie opracowane, znakomitą posiadające wartość, t. j. Ksawerego Józefowicza: *Przepisy o Hypotekach*, Romualda Hubego: *Prawo polskie w wieku trzynastym* i nakoniec świeżo ukończone dzieło profesora Władysława Holewińskiego: *O zobowiązaniach podług Kodeksu Napoleona*. Wszystkie powyżej wymienione prace, traktowane z jedynie właściwego dla

teryalne rezultaty działalności zakładu, musiałyby się o tyleż powiększyć.

Lecz my... gdzież dziś jesteśmy ze swojemi zapałami dla sprawy kobiecej!? gdzie, z gorącemi pragnieniami swojemi: postawienia kobiety w możności zarabiania sobie *samodzielnie* na kawałek chleba, i zatem w możności uchronienia się od moralnego upadku, w jaki najczęściej bieda właśnie, i nic więcej, ją wtrąca!

Od tylu lat już ronimy łzy rzewne nad losem biednych dziewcząt, które za parę rubli miesięcznego zarobku szyjąc po magazynach modystek, całą młodość swoję i życie ciskają, że tak powiemy, na śmiecie—od tylu lat już litujemy się nad upadłemi istotami, na czole których hańba zasiadła, aby w nas tylko sam wstręt do nich budzić— litujemy się jeszcze nad młodemi pannami bez posagu, które często dlatego, aby tylko byt sobie zapewnić, oddają się strupieszałym starcom i budzącym w nich często odrazę indywidyom, w śluby małżeńskie—litujemy się nareszcie nad samymi sobą, że często ograniczone matki, puste siostry i żony, puste kochanki mamy, zamiast światłych rozumnych, ukształconych, siostr, matek, żon i kochanek!

Zamiast tych rzewnych i rozdzierających serce lamentów, czemuż nie poniesiemy lepiej paru set rubli, które nam od wszystkich potrzeb pozostają, które często nazajutrz przegrywamy w karty lub ekspensujemy na suknię *z dużym ogonem*,—nie poniesiemy ich mówię, do kasy stowarzyszeń podobnych, jakiem jest *Spółka połączonej pracy kobiet*, aby tam, zapomocą tego grosza, nic samemu nie tracąc, a owszem, mogąc jeszcze znaczne za to otrzymać zyski, dać możność dwóm lub trzem kobietom, które chcą pracować: uchronienia się nieraz od niechybnej nędzy i od losu, który właśnie tak opłakujemy, gdy ten inne ich towarzyszki już spotkał?

Oddajemy to pytanie pod rozwagę tych z pań naszych, a i z panów także, którzy nie wiedząc może wcale, albo słysząc tylko bardzo mało, o istnieniu Spółek o jakich dziś piszemy, w kraju naszym, dla tej tylko jedynej przyczyny nie umieszczali w nich dotąd swojego grosza, mimo że może *sprawa kobiet* serdeczniej ich od spraw innych obchodzi. Może też były osoby, co patrzyły się na *Spółkę połączonej pracy kobiet*, jako na czysto filantropijne towarzystwo, do którego tylko osobom bogatym i posiadającym możność dawania jałmużny, przystępować jest wolno. Osoby te zawiadamiamy, iż *Spółka* nie jest wcale żadnym zakładem dobroczynnym—że kapitał do jej każdy oddany, tak samo zysk duży może przynieść uczestniczce lub uczestnikowi, jak gdyby go złożono w kasie innego jakiegoś Stowarzyszenia—że wysokość tych zysków zależy tylko właśnie od liczby osób przyjmujących udział w Spółce... a że znów sam zakład, dla celu już tylko samego, dla jakiego został otwarty, wart jest poparcia, więcej od wszystkich może innych, tego dowodzić nie ma chyba wcale potrzeby.

Zajmujemy się przestępcami, którzy już takiemi się stali—lubimy grosz dawać na wspieranie męskiej, choć dorosłej już całkiem młodzieży, dlatego, aby jej dać środki kształcenia się na ludzi — wspieramy szpitale chorych— przytułki biednych — artystów wyjeżdzających za granicę... Wszystko to śliczne! Lecz... nie zapominajmyż o tych, którzy ręce mając zdrowe do pracy i przęstępstw jeszcze żadnych nie popełniwszy, chcą się uczyć, pracować, chcą żyć na istotny pożytek społeczeństwa... o tych, z których przyszłe matki lub żony może mieć będziem—o kobietach!—tem bardziej, gdy nas to wcale nic kosztować nie będzie, a jeszcze z tej czułości materyalne osiągnąć możemy zyski.

Na zakończenie, autor artykułu ma sobie za obowiązek oznajmić czytelnikom, iż poznawszy tylko *Spółkę połączonej pracy kobiet*, jako człowiek, któremu instytucya z tytułem podobnym nie mogła być obojętną,—żadnych zresztą osobistych stosunków z Zarządem tejże spółki, z jej administracyą, ani nawet z osobami pobierającemi w niej naukę, nie ma. Proste poczucie obywatelskiego obowiązku, a głównie gorące *współczucie dla sprawy kobiecej*, było mu pobudką do napisania tej pogadanki.

Teofil Tarcza.

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE
od X-go do XII-go wieku.

szkicował
ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Do tych szczegółów dodaje Gallus nowy, który zarazem jest dobitną wskazówką, że ten kronikarz milczący o istotnej koronacyi Bolesława-Magnusa, 1025 r. odbytej, którą wspominają niemieckie źródła, gdy pod rokiem 1000 daje jej opis, nieznany obcym pisarzom, i niezgodny ze znaczeniem prawdziwem podanych w nim okoliczności—dopuścił się i tutaj właściwej sobie, i często przytrafiającej wady, łączenia wypadków nieco podobnych, a ze względu na działaczy i czas wielce różnych. Do tej pory mianowicie, w skarbcu krakowskim przechowuje się włócznia, będąca jakby kopią znaku cesarskiego dostojeństwa, pod imieniem włóczni Ś-go Maurycego zachowanego dotąd w Wiedniu. Z tą włócznią Ś-go Maurycego, był Otto III w Gnieźnie, i z nią wrócił 1001 do Rzymu; myli się więc Gallus najwyraźniej, donosząc, że cesarz dał Bolesławowi w darze (więc jakby relikwią) gwóźdź z krzyża Pańskiego i włócznię Ś-go Maurycego, a wzamian otrzymał (drugą relikwią) ramię Ś-go Wojciecha, aż do Rzymu potem zawiezione. Mogli się Otto z księciem polskim obdarzać relikwiami, ale pierwszy niedał owej włóczni, ani jako świętości, a tem mniej niedał jej jako symbolu władzy niezależnej. Wręczył jakąś włócznię Bolesławowi aby była „chorągwią zwycięską" — a więc wręczył włócznię z proporcem (hasta v. lancea signifera) taką samą, jakiej użył naprzykład Henryk II cesarz, następca Ottonów, skoro wypadło mu ceremonialnie wprowadzić Gerarda hrabiego Alzacyi, lub Henryka swego szwagra, a duka Bawaryi, w posiadanie ich beneficyów, lennych ich dzierżaw. Z tych czasów pochodzący miecz nosi na rękojeści (nie na ostrzu, jak dotąd sądzono) rodzaj szczerby, oraz napis, że był dany przez Ottona III w podarunku Bolesławowi-Magnusowi. Tej okoliczności nasze kroniki niewspominały przy opisie pobytu cesarskiego w Gnieźnie, choć mówiąc o tym samym „szczerbcu" uczyniły go darem *anioła*. Nietylko więc swem pokryciem głowy, ale i chorągwią Otto III uczynił Bolesława-Magnusa urzędowym, z ramienia Niemiec, księciem (dukiem) Polski.

Mateusz Cholewa żartobliwy zwrót nadał obrzędowemu włożeniu dyademu cesarskiego na głowę księcia, ale też dzięki takowemu mamy zachowany drobny wprawdzie ale najdawniejszy ślad wielce później rozpowszechnionego obyczaju biesiadniczego. Opowiada nam Gallus, że Bolesław przez trzy dni wyprawiał świetne biesiady, zwykłym sobie sposobem hojnie obchodząc dzień książęcego *) wyniesienia. Co dzień odmieniać

*) Przypominamy że konung (könig) jest źródłem i dla niemieckiego przekładu wyraz „króla" i dla polskiego „księcia" (duka) co mogło dać powód Gallusowi księcia przezwać królem.

---

nauk ścisłych, poważnego stanowiska, i odznaczające się gruntownem obrobieniem przedmiotu, stanowią cenny dla prawniczej naszej literatury, nabytek. Obok pięciu wyżej wymienionych, *Biblioteka* wydała kilka mniejszej objętości dzieł i broszur, z których przed innemi wymienić nam wypada Włodzimierza Spasowicza: *Prawa Autorskie i Kontrefakcya* w połączeniu z *Rzeczą o tak zwanej własności literackiej* oraz wielce nauczającą rozprawę Walentego Dutkiewicza: *O znaczeniu Jurysprudencyi*, pomieszczoną w ostatnim zeszycie togo wydawnictwa, ze wszech miar godnego uznania i poparcia.

W niedzielę, na przedstawieniu w Teatrze Wielkim baletu Pan Twardowski, w czasie ostatniego między-aktu, dał się słyszeć ze sceny głośny krzyk, ostrzegający o pożarze. Orkiestra opuściła swoje miejsca — a wiele osób z publiczności rzuciło się do wyjścia, widzieliśmy nietylko mężczyzn, ale nawet damy uciekające z krzeseł przez loże parterowe. Śmielsi i spokojniejsi widzowie pozostali i wkrótce rzecz cała wyjaśniła się. Na scenie zapaliła się lekka jakaś toaleta jednej z tancerek, na szczęście podczas przenoszenia jej do garderoby. Szkoda tylko, że podobnie drobny wypadek nie zakończył się z pożądaną w takich razach ciszą. Przestrach publiczności, tłumnie cisnącej się do drzwi, celem wydostania się na schody, mógł z łatwością spowodować następstwa o wiele od samego wypadku groźniejsze. W miejscach ściśnionych nawet w razie istotnego niebezpieczeństwa, jeszcze zachowywać trzeba pewne środki ostrożności przy objawianiu zatrważającej wieści, aby nie wywołać zbyt wielkiego przerażenia— tym bardziej więc trzymaćby się należało tej zasady w tych razach, gdy nikomu żadne niebezpieczeństwo nie zagraża—i gdzie jak tutaj, cały, wypadek mógł pozostać dla publiczności tajemnicą zakulisową.

Wszystko na tym padole płaczu, łez, narzekań i t. p. objawów ze strony niezadowolonych ze swego losu śmiertelników kończyć się musi. Zima tylko obecna nie ma jakoś dotychczas zamiaru odpocząć, i wciąż nam czerwieni nosy i uszy, a sypiąc płaty śniegu w oczy, zdaje się zapowiadać sannę na święta wielkanocne. Co prawda, przyzwyczaiwszy się do ciepła i pogody w czasie świąt wielkanocnych kilku lat minionych, mielibyśmy pewną rozmaitość jadąc sankami oglądać igrzyska na placu Ujazdowskim.

Lecz co w święta będzie, zobaczymy, a teraz rzuciwszy przykre dla wielu chcących się zabawić przepowiednie, zajmijmy się sprawozdaniem z dwóch minionych tygodni. Jak zwykle, były prelekcye i koncerty uprzyje-

kazał naczynia wszystkie i sprzęty, i inne coraz droższe na stół stawiać. Po skończonej zaś biesiadzie, cześnicy i stolnicy srebrne i złote (bo drewnianych niebyło) naczynia, mianowicie misy i czary, widełki i noże, jakoteż rogi do picia, mieli rozkaz zebrać ile ich było w trzy dni zastawionych, i złożyć je w darze cesarzowi. Podobnież Bolesław zlecił komornikom bławaty rozpięte i zasłony, kobierce, obrusy, przyodziewki, ręczniki, i wszystko co z bielizny stołowej użyto, zebrać i odnieść do komory Ottonowej. Nadto ofiarował mnóstwo złotych i srebrnych naczyń różnego wyrobu, bławaty różnej barwy, ozdoby nieznanego użytku, kamienie drogie, a wszystkiego taki dobór i obfitość, że cesarz te dary między cuda liczył. A dostojników cesarskich tak Bolesław wspaniale obdarzył, że z przyjaciół uczynił sobie oddanych sercem i duszą.

Wśród takichto trójdziennych biesiad cesarza Ottona z księciem Bolesławem—wtrąca Mateusz epizod przypominający szlacheckie późniejsze pijatyki. Po ostatnim toaście „kochajmy się," bachusowe rozczulenie pcha bracią do wzajemnych uścisków; łzy miłości, słowa niezbyt wyraźne może, ale gorącym afektem i prawdą tchnące,—bo na dnie czary nietylko prawdy, ale i serca się dobadasz—przerywają ten zapał braterski, który nareszcie uwydatnia się w symbolicznej zmianie okryć głowy na znak równości. Bywał już snać Mateusz świadkiem takich biesiadniczych pobratań się, bo oto powiada, że Otto zdjąwszy z swej głowy dyadem cesarski, włożył go na głowę Bolesława, sam zdobiąc swą głowę jego hełmem. Czy istotnie, młody cesarz, dla spowiedzi do stóp gnieźnińskiego grobu męczennika spieszący, uległ sile polskich miodów i piw przy stole Bolesława, twierdzić ani roztrząsać niebędziemy. Pozwolimy sobie jednak zauważyć, że niebraknie dowcipu temu obrazowi biesiadniczego li porównania się cesarza rzymskiego i króla Niemiec z księciem pokoleniowym. Równie też mamy wskazówki usprawiedliwiające poczęści ironiczne malowidło Mateusza. Tak naprzykład wiemy, że Bolesław-Magnus I zwany był przez Niemców Trabą (Trunkbier), Tragbir, to jest piwosz, zapewne nie dla wstrętu do tego napoju, skąd jak uważa Lelewel powstało nasze eufomiczne jego przezwisko „Chrobry."

Gallus donosi, że co dzień, w dni powszednie, czterdzieści stołów dla znakomitych gości u Bolesława zastawiano, nie licząc dla pośledniejszych. Dytmar z czynów Włodoweja brata Bolesławowego, w Czechach zapisał tylko jedyny ten szczegół, że książe ów niemógł wytrzymać godziny bez gorącego napoju; snać ród Pastów pamiętał aż nadto dobrze o tradycyi pomnożenia się jadła i miodu na postrzyżynach swego protoplasty. Można więc w każdym razie przypuszczać, że ze strony książąt polskich niebrakło ochoty do kielicha, czy tam rogów, na ucztach gnieźnieńskich. Mieli co prawda dobrą po temu okazyą, bo Otto III został ojcem chrzestnym syna Bolesławowego, a tego drugiego syna.... „nazwał (rodzony) ojciec imieniem ukochanego swego lennodawcy" (senioris). Jakby zaś niebyło dość powodów do uciechy biesiadniczej, miał jeszcze o tęż samą porę pobytu Ottona III w Gnieźnie, żenić się starszy syn Bolesławów z siostrzenicą cesarską.

(D. c. n.)

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Historya Wenecyi jest rzeczywiście ciekawą dla każdego poważniej myślącego człowieka, a dla nas spiecyalnie, gdyż w wielu względach stanowiąc antytezę histryi polskiej, ma jednak wiele punktów z nią wspólnych. Swoją drogą nie jest to historya miasta, ale ludu, ludu wielkiego a tem ciekawszego dla badacza—że objawy jego życia głównie odznaczały się na zewnątrz, wprost przeciwnie jak inne rzeczy-pospolite średniowieczne, których cała działalność zamykała się w walkach i rozterkach wewnętrznych. Wenecya daje przykład niezmiernej trwałości organizacyi państwowej, bo przez trzynaście wieków jednolitej formy rządu, formy, którą ściśle biorąc wytworzyła sama sobie, gdyż prawdziwie arystokratyczna rzeczpospolita przed Wenecką nie egzystowała. A samaż arystokracya Wenecka, jakiż ciekawy przedmiot dla studyów stanowi. Podczas gdy szlachcic, rycerz w wiekach średnich, brzydził się nauką pozostawiając ją braciszkom zakonnym i mieszczanom, sam dumny swojem nieuctwem; w Wenecyi właśnie w najwyższych rodach nauki i sztuki się krzewiły. Dość wymienić sławnych z nauki dożów i patrycyuszów jak: Dondola, Foscariniego, Justinianiego, Cornaro, Morosinich, Contarinich i Mocenigów.

Słusznie też wyraża się Pogge, że arystokracyi Weneckiej najznakomitsi niewolnicy zawdzięczają swoje wyzwolenie z rąk barbarzyńców bo: Ksenofont, Pindar, Strabon, Plutarch, Platon, Diodor Sycylijski i tylu tylu innych, wynalezionych w ukryciu niewiernych, lub na wyspach archipelagu Greckiego.

Wenetowie dotąd nieokreśleni pod względem pochodzenia (niektórzy uczeni wywodzą ich od Sarmatów) zamieszkiwali wschodnią część Lombardyi dzisiejszej w okolicach Padwy, między Adygą, Po, jeziorem Garda i morzem.

Kiedy podbici zostali przez Rzymian to niewiadomo, faktem jest jednak, że podczas pierwszego napadu Gallów już jako sprzymierzeńcy przyszli Rzymowi z odsieczą. Poddani Rzymscy znosili wspólne ze swą metropolią losy aż do jej upadku. Podczas najścia barbarzyńskich Germanów, ludność prześladowana uciskiem, zbiegała masami na małe wysepki na lagunach Adryatyku położone, które jednak już przedtem od czasów bardzo dawnych zaludnione były. Drugim powodem takiej emigracyi stały się prześladowania religijne przez Longobardów zwolenników Aryanizmu na katolikach dokonywane. Powoli z przyrostem ludności wznosiły się na wyspach miasta, nic jednak łącznego ze sobą nie mające, i w końcu, dawna Wenecya zmieniła swą nazwę na Longobardyą a nowa Wenecya z morskiej wychyliła się toni. Historya przechowała nam nazwiska dawnych owych miasteczek z których część do dziś dnia się utrzymała, a nawet z jakich miast zniszczonych przez najeźdźców, mieszkańcy na jaką udali się wyspę. I tak mieszkańcy zburzonych miast Akwilei, Konkordii i Uderzo zajęli lagunę Grado—mieszkańcy Atesty, wyspie Murano, Mazorba, Torcelo. Padwanie zajęli Rioalto (późniejsza Wenecya), Malamocco i t. p.

Od tych już czasów datuje arystokracya Wenecka jakkolwiek różnią się w zdaniu historycy. Jedni utrzymują, że arystokracya powstała dopiero po sformowaniu złotej księgi szlachty, do której wpisywano familie znane i krajowi zasłużone; inni: że arystokracyą stanowili dawniej na wyspach osiedleni wygnańcy, którzy raz stawszy się właścicielami gruntu, przyjmowali nowych przybyszów, narzucając im już swoje prawa. Tę ostatnią hypotezę jak mi się zdaje przyjąć należy, gdyż podział mieszkańców na dwie klasy convicini i clienti jak utrzymuje Dondolo już od najdawniejszych

---

mniające nam swobodne od rozpamiętywań i zajęć przedświątecznych chwile. Z katedry w sali ratuszowej usłyszeliśmy dwie prelekcye wypowiedziane przez dwie znane ze swego talentu powieściopisarki: panią Marenné i panią Orzeszkowę. Pierwsza mówiła o „pracy"—druga „o wpływie nauki na miłosierdzie"—a obie wypowiedziawszy je pełnym świetności stylem i w sposób nader zajmujący—zyskały sobie liczne oklaski, świadczące o zadowoleniu słuchaczów a przedewszystkiem licznych słuchaczek i przyczyniły się do dobrego dochodu dla osad rolnych.

Z tej samej katedry przemawiał pan J. K. Gregorowicz o „Zasobie w gospodarstwie."

Z odczytów pięcio-kopiejkowych zaznaczamy odczyt pana Lubeckiego „o podziale pracy i machinach" a zaznaczamy go z tym większą przyjemnością, iż dowiadujemy się, że pan Lubecki jako rzemieślnik, choć nie ukończył szkół żadnych, sam o swoich siłach stanął na tym stopniu wykształcenia, iż mógł publicznie dać jego dowody i zasłużyć na wszelkie uznanie.

W Teatrze Wielkim przedstawiono „Intrygę i Miłość" Szyllera na benefis pani Modrzejewskiej—widowisko się udało tak pod względem przedstawienia jak zapełniania całej sali teatralnej, przez publiczność zasypującą benefisantkę gradem oklasków i bukietów, w których jeden z kwiatów stanowił kosztowny upominek.

Tyle ze świata mówiącego—przechodzimy do świata śpiewająco-grającego i do objawów jego życia. Otóż włoska opera zakończyła Hugonotami szereg swoich przedstawień. Artyści miejscowi, aby pokazać publiczności i swoim włoskim kolegom, iż także *pracować* umieją, nazajutrz po Hugonotach odśpiewali... Violetę poraz pewno setny.

W salach redutowych, staraniem pana Müncheimera, odbył się drugi koncert na dochód niezamożnych studentów tutejszego uniwersytetu. Publiczność tłumnie pośpieszyła i nie żałowała że przyszła. Program ułożony z prawdziwie artystycznym zapałem, przeplatany Wagnerem i mistrzami przeszłości—zadowolił pod względem wykonania najostrzejszych sprawozdawców.

Towarzystwo Muzyczne otrzymało nareszcie dyrektora i komitet. Wybór na dyrektora pana Wieniawskiego, zdaje nam się być bardzo wiele zapowiadającym na przyszłość.

A teraz wybieram się na koncert religijny, i kończę pogadankę życzeniem świąt wesołych wszystkim czytelnikom.

czasów egzystował. Odpowiada to nazwom patrycyuszów i plebejuszów.

Rozumie się, że niemogą tutaj przedstawiać nawet w najtreściwszem skróceniu historyi Weneckiej do której jednak ze smutkiem przyznać należy, literatura nasza żadnego nawet przyzwoitego podręcznika nie posiada. Pragnę tylko w małym obrazku określić formę rządu i atrybucye władz, tak ciekawe, a tak mało u nas znane.

Przedewszystkiem tedy wysepki rządziły się osobno, wybierając sobie trybunów, którzy byli naczelnikami władzy wykonawczej; jednakże Rioalto miało konsula nadsyłanego z Padwy, i uznawało supremacyę tej ostatniej. Trybunowie (wybieralni na rok jeden) naradzali się między sobą w razie wypadków ważnych, zagrażających wszystkim wysepkom; była to więc początkowo rzeczypospolita federacyjna. Gdy w końcu VII wieku, od morza wyprawy Słowian, a od lądu Longobardowie naciskać zanadto zaczęli już kwitnące miasta, trybunowie z upoważnienia swoich współobywateli, zebrali się na wspólną naradę i wybrali dożę (dux, wódz), który miał uspokoić rozterki wewnętrzne i obronić kraj od nieprzyjaciół na zewnątz. Pierwszym takim dożą był Paweł Łukasz Anafeste, który tak świetnie spełnił swoje zadanie, że obywatele wysepek tę formę rządu za najdogodniejszą dla siebie uznali, choć władza doży nie była wcale samowładcy. Przeciwnie naprzykład, prawo pokoju i wojny już od pierwszych czasów do dożów nie należało, lecz do zgromadzenia narodowego. Nie odrzeczy będzie wymienić nazwiska dwunastu trybunów, którzy wybrali pierwszego dożę, gdyż są to nazwiska najstarszej arystokracyi w Europie, a prawie z każdego z tych rodów, wybrany był jeden, jeśli nie kilku dożów. Nazywali się oni: Contarini, Morosini, Badoaro, Tiepolo, Michieli, Sanudo, Gradenigo, Memmo, Faliero, Dandolo, Polani i Barozzi, i stanowili też pierwszą radę przyboczną doży. O atrybucyach pierwszych dożów najobszerniej wspomina Andrzej Dandolo, historyograf wenecki najdawniejszy; były one mniej więcej takie jak królów w państwach konstytucyjnych, niepodobna mi ich tu wymienić jednak, z obawy rozszerzenia ram tego szkicu. Dożowie pierwsi mieli siedlisko w Heraklei, następni w Malamocco a wreszcie po szczęśliwem odparciu napadu Franków przez wysypkę Rioalto, Andrzej Patriciaco nowy doża, tam przeniósł siedlisko rządu, a połączywszy 60 wysp mostami, zbudować kazał pałac na tem miejscu, gdzie się dzisiejszy znajduje.

Jak powiedziałem wyżej, od pierwszej chwili ustanowienia dożów ci nigdy samowładnie nie rządzili. Mieli oni zawsze radę przyboczną i byli zależni od wszechwładztwa ludu. Kiedy jednak doża Michieli, przez lud rozwścieczony zamordowany został, po jego śmierci ciało sądzące nazwane Quaranta (czterdziestka), postanowiło ustalić wybór doży, i określić władzę jego dokładnie, jak również ustanowić senat i wielką radę. Postanowiono zatem, że każdy z sześciu okręgów miasta, wybierze corocznie dwunastu wyborców, a ci naznaczą 170 osób z obywateli znakomitszych, którzy stanowić będą wielką radę i przedstawiać naród w ważniejszych wypadkach.

Dla stałego już ograniczenia doży, dodano mu sześciu radzców mianowanych przez wielką radę, bez których nic stanowić nie mógł. Wreszcie ciało złożone z 60 członków wybranych z wielkiej rady corocznie, stanowiło senat, który jednak już od r. 1052 egzystował de facto pod nazwą *consilio dei pregadi*. Wybór doży dopełnianym miał być od r. 1096, nie przez cały naród, lecz przez jedenastu elektorów. Lud całe te prawa zatwierdził, i odtąd już bardzo rzadko całą ludność do obrad wzywano. Najprzód tedy dożę wybierał cały naród, potem jedenastu elektorów, a w r. 1178 wielka rada naznaczała czterech komisarzy ci wybierali każdy po 10 elektorów, a ci wybierali dożę. Gdy jednak zdarzył się wypadek równie podzielonych głosów w r. 1249, naznaczono elektorów 41.

Aby zapewnić uczciwść i nieparcyalność bez przekupstw w wyborach, wielka rada obmyśliła następujący systemat wyborczy w r. 1268, który przetrwał aż do ostatnich czasów. Nadmienić wypada że członkowie wielkiej rady już w początku XIII wieku uznani zostali za dożytnich a ztąd zmieniać ich nie było wolno. Otóż z członków wielkiej rady wyciągano losem 30 z których znowu losem pozostawiano tylko dziewięciu. Tych dziewięciu radzców naznaczało 70 wybranych z których znowu losem wybierano 12. Ci 12 naznaczali innych 25 z których wybierano 9-ciu; ci 9-ciu mianowali 45 z których los wyznaczał 11 a ci nareszcie wybierali 41 stanowczych elektorów którzy już wybierali dożę. Systemat wyborczy tak skomplikowany, wymyślonym był dla uniknięcia przekupstw i intryg poprzednich. Pomimo jednak tej zawiłości, do wyborów niejednokrotnie wkradały się nadużycia. Aby skończyć z dożami, dodać muszę że ich atrybucye były nadzwyczaj ograniczone, gdyż mieli tylko naczelne dowództwo wojsk i prawo łaski w sprawach kryminalnych *jawnych*. Zresztą powoli stanowisko ich schodziło do roli czysto biernej, a doża był tylko wykonawcą i sługą pierwszym wielkiej rady, senatu i rady dziesięciu, w życiu zaś prywatnem, najpierwszym w kraju niewolnikiem.

(*D. c. n.*)

O DESZCZU
i
pokrewnych mu zjawiskach.

(Dalszy ciąg).

Teraz zastanowić się nam wypada nad drugim rodzajem skraplania się pary wodnej z powietrza, — mianowicie nad mgłą. Skoro tylko pewna masa powietrza oziębi się tak dalece, że zawarta w niej ilość pary wodnej jest większą od tej ilości, jaka się w powietrzu utrzymać może przy tej zniżonej temperaturze, czyli innemi słowy, gdy powietrze stanie się przesyconem parą wodną część tej pary wydziela się natychmiast w postaci bardzo drobnych kropelek lub pęcherzyków wodnych, tak np. jeżeli powietrze przy 20° zawiera tyle pary wodnej, że na jego kwartę przypada do 12 centygr. pary wodnej a powietrze to oziębi się do 19°, to z każdej kwarty powietrza wydzielą się 3 centygramy pary. Najprostszy przykład tworzenia się mgły mamy w owych obłoczkach, które czynią widocznym nasz oddech przy zimnem powietrzu, albo w obłoczkach, które się unoszą nad kotłem wrzącej wody. Kulki wodne składające mgłę są już pełne, już puste wewnątrz, jak pęcherzyki i mogą być rozróżniane za pomocą szkła powiększającego. Według Kämtza średnica ich zmienia się między 0,014 a 0,035 milimetra, w lecie są mniejsze niż w zimie. Przy temperaturze bardzo niskiej mgła składa się z bardzo delikatnych igiełkowatych kryształków lodu. W okolicach biegunowych ten rodzaj mgły jest najpospolitszym i udziela atmosferze właściwy blask.

Widzieliśmy zatem, że mgła powstać może w skutek oziębienia się pewnej masy powietrza; może ona jednak powstać i w inny sposób jeszcze, mianowicie jeżeli powierzchnia wody lub wilgotna ziemia dostarczają zimnemu powietrzu więcej pary, niż ono przy swej temperaturze zawierać może. Tak powstaje mgła, która zwłaszcza na jesień, wznosi się nad łąkami do bardzo nieznacznej wysokości, w ten też sposób objaśnia się tak zwane parowanie rzek, strumieni i świeżo zoranej wilgotnej roli.

Bardzo jest nakoniec częsty trzeci jeszcze sposób powstawania mgły,—mianowicie przez mięszanie się dwóch wiatrów, z których jeden jest zimny a drugi ciepły i oba są bliskie stanu nasycenia, wiatr cieplejszy się oziębia i staje się przesyconym parą wodną, wiatr zimniejszy się ogrzewa i wysycha, ale działanie pierwsze przeważa pospolicie nad drugiem; dajmy np. że wiatr jeden doprowadza nam powietrze o 0°, a którego kwarta zawiera 4 cen. pary, drugi doprowadza powietrze o 40°, którego kwarta mieści w sobie 50 centyg. pary, przez pomięszanie tych dwóch wiatrów powstanie powietrze ogrzane na 20°, a którego kwarta zawierać będzie 27 c. pary, a że kwarta powietrza przy 20° jest nasyconą już przez 18 c., to 9 jej c. utrzymać się nie będzie mogło w stanie lotnym, i wydzieli się w stanie ciekłym, w postaci mgły.

Z pewnym szczegółem odnoszącym się do mgły, łączy się dosyć znane prawidło przepowiadania pogody, mówi się, że gdy się mgła wznosi w górę, zapowiada deszcz, gdy zaś opada jest zwiastunem pogody. Prawidło to jest w istocie uzasadnionem; jeżeli bowiem powietrze napełnione mgłą ma ruch wstępujący, wznosi się w górę, to przeprowadza ono mgłę, w górne, zimniejsze warstwy atmosfery, gdzie mgła jeszcze bardziej zgęszczona, staje się chmurą deszczową; jeżeli natomiast w dolne warstwy powietrza, zawierające mgłę przenika powietrze ciepłe i suche, to pęcherzyki mgły znowu zamieniają się w przezroczystą parę, a niebo się rozjaśnia.

Miejsca wilgotne i błotniste posiadają mgły częste, rozległe i bardzo gęste, a w niektórych miastach gęstość mgły dosięga nader wysokiego stopnia. Przedewszystkiem słynnym ze swej mgły jest Londyn, do mgły wydawanej przez Tamizę i przez parę wznoszącą się z tysięcy kotłów, łączy się jeszcze dym niezliczonych kominów, pył i wyziewy różnego rodzaju przyczepiają się do kulek mgły; taka mgła mięszana z kropel wody i części stałych, posiada niekiedy barwę zupełnie niemal czarną, przykrą woń i jest zapewne dla zdrowia bardzo szkodliwą. Mgła taka trwa niekiedy w Londynie przez kilka dni, przez ten czas gaz płonie na ulicach, w fabrykach i mieszkaniach, i często niewystarcza do rozjaśnienia głębokiej nocy zalegającej miasto.

Cośmy powiedzieli o powstawaniu mgły stosuje się wprost i do tworzenia się chmur,— chmury bowiem są niczem innem, jak mgłą, unoszącą się nad nami w wyższych warstwach atmosfery. Podobnie jak mgła składają się z kuleczek lub pęcherzyków wody, albo też przy niższej temperaturze z igiełek lodowych. Niektóre są mgłą utworzoną w dolinach nad powierzchnią ziemi i następnie wzniesioną w górę, inne tworzą się na stokach i wierzchołkach gór, największa część powstaje w samychże wyższych warstwach atmosfery. Wszystkie różnice, jakie dostrzegamy między mgłą a chmurami są tylko pozorne i pochodzą stąd jedynie, że chmury widzimy zdaleka, gdy mgła znajduje się na około nas samych; gdy wstępując na wysoką górę, lub wznosząc się balonem, znajdziemy się wpośrodku chmury, przybiera ona dla nas charakter mgły, a nieokreślone kształty mgły, przybierają wyraźne ograniczenie, jak chmury, gdy na nie spoglądamy z daleka.

Najczęściej chmury szybko przechodzą, często jednak zdają się unosić przez kilka dni na temże miejscu, zwłaszcza na stokach gór; wszakże nie są one utworem stałym, statecznym; chmura ani przez chwilę nie zostaje tąż samą; kuleczki jej w skutek ciężkości opadają coraz niżej, i dostają się w cieplejsze przestrzenie atmosfery, gdzie się ulatniają i przechodzą w niewidzialny stan pary, podczas gdy w górnych częściach chmury, tworzą się bezustannie coraz nowe kropelki mgły. Ciągły ruch, ciągła zmiana, ciągłe przeobrażanie, oto wybitne cechy chmury, które jej nadają te dziwacznie przeobrażające się kształty, które pozwalają dostrzegaczowi wyczytywać z chmury najfantastyczniejsze postacie. Chmura bezustannie się zmienia. „Jakkolwiek wielką jest chmura, mówi Leop. Buch, to po kwadransie z pewnością nie ma w niej ani jednego pęcherzyka z tych, które istniały poprzednio.“ Chmura, mówi Dove, nie jest czemś skończonem, nie jest żadnym utworem, ale działaniem, procesem, istnieje tylko przez to, że ciągle powstaje i ginie.

(*D. c. n.*)

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PRZEZ

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ II.

Ogródek dziecinny.

Zabawy z matką, piosnki froeblowskie i rozmaite cacka mniej lub więcej pożyteczne, pomagały dziecięciu przepędzić wesoło pierwsze trzy lata swego życia, teraz otwiera się przed niem ogródek dziecinny, z którego dolatuje uszu naszych wesoły śmiech, szczebiotanie i okrzyki radości całej gromadki chłopców i dziewczątek, od trzech do pięciu lat wieku mających.

Czy wpuścicie tam dziecię wasze, które tak ciekawie do wnętrza ogródka zagląda?

Wprzód nim dacie mi stanowczą odpowiedź, zechciejcie sami się przekonać na miejscu, o urządzeniu tych miniaturowych zebrań, zostających pod opieką wesołej i uśmiechniętej dziewczyny, która niedawno skończyła kurs metody Froebla, w zakładzie umyślnie dla kształcenia młodych ogrodniczek dziecinnych, przeznaczonym. O, bo też trzeba nauki, ażeby zabawić to całe grono rumianych malców. Trzeba talentu, ażeby przez ciąg czterech lub pięciu godzin zająć ich, nie dać się im nudzić, a zarazem w całym ciągu zabawy, uważać na dążność rozwijania zmysłów i umysłu.

Przypatrzmy się, z jakiem zajęciem przysłuchują się dziatki opowiadaniu cioci Rózi o bocianie, który przeszłej jesieni uciekł z rodziną, przed zbliżającą się zimą, a teraz znowu powraca do starego gniazda.

Otóż pytamy was rodzice, czy grozi jakie moralne niebezpieczeństwo dziatkom waszym? czy umysł ich nie rozwija się i nie przyzwyczaja zastanawiać się nad jednym przedmiotem, co kiedyś zbawiennie wpłynie na skupienie uwagi na ławkach szkolnych? czy nie uczy podobny ogródek, owej wielkiej cnoty uprzejmości w obejściu z rówiennikami, grzeczności dla nich? czy to nie wywrze dobrego wpływu na późniejsze obcowanie w towarzystwie światowem, a nadewszystko szanowni rodzice, rozważcie pilnie, czy kilkagodzinna bytność w ogródku, usposabia dzieci wasze do grzeczności w domu, lub, czy rozwija tylko ich drażliwość—gdyż w takim razie radzilibyśmy usunąć nieśmiałe i wrażliwe dziecię od zbyt licznego towarzystwa, a natomiast uważalibyśmy za rzecz potrzebną, jeżeli możność na to pozwoli, trzymanie niańki, wykształconej podług zasad metody Froebla, co w naszych czasach bynajmniej nie jest rzadkością. Albo wreszcie, niechby sama matka przejąwszy się tą wyborną metodą, starała się w domu zastąpić ogrodniczkę dziecinną, zabawiając swoje dziatki, opowiadając im nawet powiastki.

Wprzód jednak zbadajmy gruntownie urządzenie ogródka dziecinnego i cele do jakich w nim dążą.

Wejdźmy zatem do takiego ogródka. Godzina dziewiąta; ogrodniczka zebrała wszystkie dzieci do rannego pacierza: „A teraz dziatki, woła na nich ciocia Rózia, siedźcie cicho, opowiem wam powiastkę!“ Dzieci siadają. „Nie tak, nie tak, powtarza ogrodniczka, wtedy zacznę, kiedy wszystko będzie w porządku i tak cicho, że posłyszę jak igiełka pada na podłogę!“ Probuje igiełką, dziatki natężają słuch, ażeby też posłyszeć jak igiełka pada i wtedy zaczyna się opowiadanie. Pora wiosenna, więc ciocia Rózia rozpowiada o bocianach, które się w przeszłym roku wylęgły, odlaciały do ciepłych krajów na zimę, a z wiosną znowu wróciły. Opowiada im, czem się te ptaki żywią, jak budują swoje gniazda—w końcu opowiada im w dalszym ciągu o bocianach, o jakiej ubogiej rodzinie, gdzie grzeczne dziatki zajmowały się chorym bocianem, który wraz z towarzyszami nie mógł odlecieć do ciepłych krajów i trzymały go u siebie przez zimę, ochraniając od mrozu i wilgoci. Dziatki słuchają z natężoną uwagą—przy końcu opowiadania, ciocia im śpiewa ładną piosnkę; one naprzód słuchają jej, później starają się ją powtórzyć, aż w końcu śpiewają ją chórem, pod przewodnictwem ogrodniczki—a czas biegnie im niepostrzeżenie. Dzieci zmęczone opowiadaniem, słuchaniem i śpiewem odpoczywają chwilkę, potem przechodzą do innego zajęcia.

Ciocia Rózia trzyma w ręku dwa przedmioty okrągłe: kulę i piłkę. Dzieci już je pierwej widziały; jednak z równem zajęciem i ciekawością biorą je i teraz do ręki, i oglądają na wszystkie strony.

Ciocia im opowiada o użytku z piłki, rzuca ją na podłogę— piłka odskakuje od niej, toczona po posadzce porusza się cicho, i równo. Kula znowu jest ciężką, toczy się złoskotem, rzucona na podłogę nie odskakuje od niej, ale ciężko upada. Ogrodniczka wywołuje jedno z dzieci na środek pokoju, zawiązuje mu oczy chustką—i daje w jednę rękę kulę, a w drugą piłkę. Następnie pyta się dziecka, czy czuje różnicę między jednym i drugim przedmiotem, jeżeli dziecię odrazu pojęło poprzednie tłomaczenie, to z łatwością po wadze rozpozna piłkę lub kulę — zapytane, gdzie ma kulę, wyciągnie rękę w której ją trzyma, a zagadnięte znowu po czem ją odróżnia od piłki, odpowie, że kula jest ciężką, a piłka lekką.

(*D. c. n.*)

SYN PANA MARKA.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

II.

Żeby określić stosunki rodzinne państwa Chojnowskich, trzeba przedewszystkiem zawrzeć bliższą znajomość z samą panią właścicielką Wólki, i rozkazodawczynią swego małżonka.

Znać Wólkę, nie znając pani Markowej, jest to samo, co być w Rzymie a nie widzieć papięża. Nie chcąc, aby czytelnicy z winy autora narażeni byli na niekonsekwencye tego rodzaju, przystępujemy do określenia tej samodzielnej i wybitnej w swojej sferze osobistości.

Nie mamy trzech potrzebnych rzeczy, to jest talentu, farb i płótna, gdyż moglibyśmy dołączyć do niniejszego numeru portret pani Chojnowskiej, który mógłby być nad wszelki opis plastyczniejszy.

Rozporządzając niestety tylko piórem i atramentem, musimy poprzestać jedynie na dobrych chęciach zamiast na uczynku, i na piórze zamiast pędzla.

Mieszkańcy stali trzech sąsiednich powiatów w ogóle, a mieszkańcy parafii Wólka w szczególności, wiedzieli aż nadto dobrze, że osobistość płci żeńskiej ukazująca się w powoziku nie zbyt świeżego fasonu, ciągnionym przez czwórkę rumaków, z których każdy tak maścią jakoteż usposobieniem i wiekiem różnił się od swoich towarzyszów, była pani Markowa.

Ci mieszkańcy widzieli ją przejeżdżającą czwórką, a czwórka prezentowała się nieźle, stary Onufry na koźle wyglądał dziarsko, powozik chociaż trzeszczał i niemiał skrzydła z lewej strony a klamki u drzwiczek z prawej, imponował zieloną barwą pudła; pani Markowa wyglądała pokaźnie, a we wzięciu się i ruchach miała coś arystokratycznego. Dlaczego arystokratycznego zobaczymy poniżej.

Wyglądała jak Semiramida na wspaniałym rydwanie, wleczona przez lwy, co przynosiło ogromny zaszczyt staremu Onufremu, który umiał cztery różnorodne charaktery końskie zjednoczyć, i pozór przyzwoity im nadać. Mózg Onufrego wysilał się nad debatami, jak sprządz te cztery indywidualności zwierzęce, z których jedna zdawała się być stworzoną do włóczenia brony, druga do siodła, trzecia do monotonnego obracania kieratu, czwarta zaś, do szalonej jazdy jarmarcznego bałaguły.

Nikt nie wie, ile to Onufry wymyślił kombinacyi w jakich dozach rozdzielać owies i razy batoga, jak długo dumał nad najstosowniejszą dla każdego rumaka długością postronków, i nad stroną z której go w zaprzęgu umieścić należało; zasługi te przepadły bez uznania, bez zaznaczenia.... a jednak były to zasługi, których jedyną nagrodą były mizerne 30 rubli *zasług* i ośmnaście korcy ordynaryi.

Onufry miał jeszcze jeden talent, z którym chętnie popisywał się przy każdej sposobności, i za co dostawał od pani kieliszek szumówki, nie mającej wprawdzie 32% według probierza Trallesa, ale rozdawanej zwykle wszystkim pracownikom ziemi w dominium Wólka.

I teraz, w rozwartych szeroko wrotach dworu Wólki, ukazała się naprzód para lejcowych, skarogniady z bułanym, potem dyszlowy kasztan ze srokatym, za niemi na wysokim koźle Onufry z czerwonym nosem, a nakoniec, sama pani w kapeluszu przypominającym kląb kwiatów.

Onufry strzelił z bata, stado kaczek spłoszone uciekło w stronę sadzawki, a kilka psów głośnem szczekaniem anonsowało przybycie Jaśnie Pani. Bo powiedziawszy nawiasem, w naszych poczciwych okolicach jest taki zwyczaj, że kto ma siedm włók gruntu, ten z natury rzeczy jest „Jasnym“ aż do dnia subhastacyi, i mieszka we „dworze“ aż do dnia, w którym osiada na bruku.

Kiedy Jaśnie Pani przywitana przez dzieci i domowników zatoczyła się do swego pokoju,

a Onufry zatoczył powóz do wozowni, prawo autora pozwala nam otworzyć drzwiczki buduaru pani Markowej, i opowiedzieć czytelnikowi jak nasza jejmość wygląda.

Na jej twarzy znać jakieś zakłopotanie, widać że ma na myśli coś, co jej dolega, jakąś troskę, kłopot czy też kwestyą ważną, a do rozwiązania trudną.

Zrzuciwszy z siebie okrycie i kapelusz, zdjąwszy suknię odświętną, a przywdziawszy płócienkowy negliż, usiadła zadumana przy swej tualecie, a przymknąwszy powieki wsparła głowę na dłoni i utonęła w medytacyach, co nie było wcale dziwnem, ze względu na liczne jej potomstwo i nieodłączne od tej pociechy kłopoty.

Pani Markowa była niezwykle pełnej tuszy, wdzięki jej wybiegały daleko po za te formy, jakie przyroda kształtowi kobiety przeznaczyła, jej twarz była pełna i nadto rumiana, podbródki w ilości kilku egzemplarzy tworzyły wdzięczną harmonią z jej obliczem, na którem zresztą malowała się poczciwość i energia. W tej kobiecie były dwie sprężyny pobudzające ją do ruchu i działalności, a temi sprężynami było przywiązanie do dzieci i zamiłowanie w gospodarstwie.

Są typy śmieszne ale zacne i sympatyczne, bo ten element konieczny, który się w nich wyrobił, powstał z poczciwych i poczciwie przesadzonych chęci.

Do takich typów należeli państwo Chojnowscy. On dobry, poczciwy, pracowity gospodarz, kochał swoję żonę, i miłość dla niej objawiał przez bezwzględną uległość. Ona kochała go nie mniej, kochała dzieci do szaleństwa, i dla tej miłości robiła wszystko, co tylko macierzyńskie jej serce podyktowało.

Uczeni, którzy się znają na ludziach, i jakoś tam własności ducha człowieczego kombinować potrafią, powiadają, że serce błądzi częstokroć, jeżeli nie jest kierowane rozumem. Ależ miły Boże, skąd brać tego rozumu i jak go pojmować! Ileż to razy, to, co jeden nazywa rozumnem, drugi gani i chrzci brzydkim epitetem, i odwrotnie.

I pani Markowa podług skali swych pojęć miała rozum, postępowała rozumnie. I pan Marek tak samo. Sumienie ich własne nic im nie wyrzucało—pełnili swoje obowiązki; a chociaż można w ich życiu dostrzedz pewne niekonsekwencye, chociaż oboje byli śmieszni pod pewnemi względami, niemniej jednak stanowili parę poczciwą i zacną, która gdyby miała tyle oświaty i nauki, ile posiadała uczucia, serca i cnót domowych, byłaby podobno feniksem, mogącym służyć za wzór tym wszystkim uczonym, którzy piszą szerokie i mądrze obmyślane dzieła pedagogiczne.

Ale cóż, kiedy nie zawsze trafiają się szczęśliwe kombinacye uczucia i rozumu w jednej osobistości.

Zresztą, co nam po tych debatach, wplątały się one tutaj jak Piłat w Credo, i przerwały na chwilę gawędkę o losach państwa Marków, którąśmy rozpoczęli i mamy niekłamany zamiar zakończyć.

Gawędźmy więc.

Pani Markowa utonęła w marzeniach i myślach—i ani śliczny wieczór lipcowy, ani hałaśliwie traktowana na dziedzieńcu kwestya zajętego przed chwilą włościańskiego bydła ze szkody, nie mogła jej wyrwać z tego stanu spoczynku dla ciała a niezwykłej ruchliwości i pracy umysłu.

O czem marzyła, nad jakim debatowała przedmiotem?

Widzieliśmy przed chwilą Onufrego, co nam dowodzi, że zacny ten pracownik i specyalista hippiczny, powrócił z miasta, do którego onegdaj był wysłany — a stąd możemy łatwo przyjść do przekonania, że przywiósł pierworodka państwa Marków, i sprawunki ze sklepu.

Zapoznamy się później z tym młodym człowiekiem, który od najmłodszych lat okazywał szczególniejsze zdolności do rybołówstwa, rakołapstwa i bąkostrzelstwa, i dla tych sztuk wyzwolonych poświęcał naukę.

Obecnie jednak idźmy za myślami rodzicielki naszego bohatera, idźmy za temi dumkami, które jak nitki w ręku pracowitej prządki nawijają się na ostre wrzeciono. Wrzecionem w danym razie była przyszłość pierworodka.

Ta zawiła kwestya obserwowana przez pryzmat rodzicielskiego serca pani Markowej, przedstawiała się w kolorach jaskrawych i świetnych, ale jednak otoczonych mgłą jakiejś niepewności.

Kwestya synowskiego losu była w swoim rodzaju pewnem perpetuum mobile, nieprzestającem nigdy poruszać się w duchowej jaźni rodzicielki, i dającem jej powód do zastanawiań się, długich medytacyi i bezsennych nocy.

Nie mamy powodu mniemać, że pani Markowa była skłonną do rozmyślań w przedmiotach abstrakcyjnych, i nie mających związku z gospodarstwem domowem; ale też nic nie upoważnia nas do przypuszczeń, żeby kwestya synowska nie była jedną z największych kwestyi, jakie kiedykolwiek rozwiązywały się pod czepkiem pani Markowej.

Kwestya ta była tem ważniejszą, że łączyła się silnym węzłem z kwestyą losów całej młodej generacyi tego szczepu.

Bo chociaż nie śmielibyśmy posądzić pani Markowej o znajomość ułamków, matrona ta wiedziała jednak dobrze, że jeżeli Wólka w całości przedstawia nie wielką wartość dodatnią, to też Wólka podzielona przez ośm, i obciążona dożywociem rodziców, jest wielkością, jeżeli nie urojoną to ujemną, i korzyści przynosić nie mogącą.

Pani Markowa kombinując kiedyś w myśli ilość inwentarzy żywych, znajdujących się na gruncie Wólki i porównywając z ilością osobników rodziny, mających prawo do podziału, i czyniąc takowy podział w myśli, z uwzględnieniem praw żyjących rodziców, przyszła do takich rezultatów: że na każde z dzieci przypada jedna dziesiąta część konia wierzchowego, piąta cugowego, cały koń fornalski, $12\frac{1}{2}$ owcy, $3\frac{3}{4}$ sztuk bydła rogatego, pół psa i 28 sztuk tego rodzaju inwentarza, którego miano niewiadomo z jakich logicznych powodów, nie przechodzi przez cenzurę towarzyskiej przyzwoitości.

Rozdzieliwszy w podobny sposób myślą grunta orne, łąki lasy, nieużytki, młyn i dochód z propinacyi, pani Markowa, przyszła do tego smutnego przekonania, że potomstwo jej nie tylko nie będzie mogło imponować Rotszyldom, ale nie zaćmi nawet bogactwem skromnej firmy handlowej: „Pinkus Apfel und drei Söhne“, w sąsiedniem miasteczku.

I któż się zadziwi, że pani Markowa od niejakiego czasu niemogła sypiać spokojnie... że przed dwoma miesiącami wyprawiła list do brata mieszkającego w Galicyi, i że obecnie siedzi zadumana, milcząca, a poczciwe niebieskie jej oczy zapatrzone w jakiś punkt oddalony, nie dostrzegają nawet, że tłusty bury kocisko, z uciętym ogonem, gospodaruje w śmietance troskliwie zebranej na przyjęcie ukochanego brata, pana kapitana Władysława Pomian Iskrzyckiego.

Marzenia Pani Markowej trwałyby dłużej jeszcze, przerwałyby się może dopiero z zachodzącem słońcem, gdyby nie gwałtowne ujadanie psów, turkot bryczki, i krzyk radosny wszystkich dzieci.

Jeszcze pani Markowa nie zdążyła zdać sobie sprawy z tego hałasu, gdy do jej sypialni wpadła jasno-włosa Magda, wołając:

— Proszę Jaśnie Pani, pan *kopiton* przyjechał.

— Nareszcie! zawołała pani Markowa, a po chwili na ganku, brat i siostra witali się po kilku latach niewidzenia.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOSCI.

— Na Wystawie Austryackiego Towarzystwa Sztuk Pięknych w Wiedniu, pomieszczonym został nowy **obraz J. Brandta:** Obraz ten nosi tytuł: Śpiew wieczorny ukraińskich kozaków wśród stepu.

— We Lwowskim teatrze przedstawiono niedawno nową operetkę ludową p. t. **Skarby i upiory**— słowa napisał Ładnowski, muzykę zaś znany kompozytor Galicyjski, Hoffman.

— Teatr Chateau d'eau w Paryżu, przygotowuje do przedstawienia nieznany dotąd wodewil p. t. **Wilkołak,** napisany przez Pawła Koca i odnaleziony niedawno w pozostałych po nim rękopismach.

OD REDAKCYI.

Dzisiejszy numer **Ogniska** jest ostatnim, jaki wydajemy w tym kwartale.

Na skutek objawionego nam przez wielu prenumeratorów żądania, przyrzeczone od czasu do czasu dodatki, na wzór tego, jaki dołączyliśmy do Nr. 18 naszego pisma, zamieniamy z dniem pierwszym kwietnia r. b., na bezpłatny dodatek stały do każdego numeru, i pomieszczać w nim będziemy utwory belletrystyczne. Na początek damy czytelnikom naszym piękną powieść z angielskiego tłómaczoną, napisaną przez **Amelią Edwards**, p. n. Przysięga Debenhama, której pierwszy arkusz dołączymy do następnego numeru **Ogniska**.

Dodatek poświęcimy utworom tłómaczonym, w łamach zaś pisma dawać będziemy lżejszej treści utwory oryginalne. Tym sposobem tygodnik nasz zyska na rozmaitości bez uszczerbku innych działów w program jego wchodzących.

PP. prenumeratorowie życzący sobie odbierać nadal bez przerwy **„Ognisko Domowe”** raczą pospieszyć z wniesieniem przedpłaty na kwartał drugi roku bieżącego. Wszelkie korespondencye w tym względzie najlepiej nadsyłać **wprost** pod adresem: **Redakcyi Ogniska Domowego, ulica Bielańska Nr. 8 w Warszawie.**

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawa, **Bronisław Przyrembel.**